

PLOMYK

TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

ROK 20 ♦ TOM 1 ♦ NR. 8

WARSZAWA. 21 PAŹDZIERNIKA 1935 ROKU



PRZED CHATA

NA HUCULSZCZYŹNIE

Świat tu jest inny — nie taki,
jak tam, nad morzem szerokiem,
nie taki, jak w Tatrach skalistych,
nad modrem Morskiem Okiem.

Świat tu jest inny — nie taki,
jak tam, nad Wartą lub Wisłą.
Szumią tu jodły po górach
zielenią ciężko nawisłą.

Świat tu nie taki — odmienny:
góry osnute borami,
rozległe łąki połonin,
doliny z potokami.

Świat tu nie taki — odmienny:
w muzycznym głosie trombity
płacze tu skarga i smutek
i tysięcy dzwoni pytań.

Świat tu jest inny — tu łatwo
człek się do człeka przyzna,
pokocha go i polubi.
O, taka jest Huculszczyzna!

Antoni Madej

o to, co serce boli,
o to, co duszę wspiera,
o to, czem człek się raduje
i od czego umiera.

Tu rzewna nuta fujarki
z zachodem i wschodem słońca
ściele się smętnie po trawach
tęsknotą wzbierającą.

Świat tu jest inny, lud inny —
nad Czeremoszem i Prutem —
lud obdarzony przez Boga
hojnie i szczerze i suto.

Gdzie spojrzysz, przemyślna ładność
rozpiera się wokoło!
A cerkiew jaka piękna!
A chata, a całe sioło!

UROCZA HUCULSZCZYŻNA

Południowo-wschodni zakątek Polski, oparty o potężny wał pasma Czarnohory, przecięty bystremi wodami Bystrzycy, Prutu i Czeremoszu — stanowi uroczą krainę wielkich lasów i gór, zamieszkałych przez ruskich górali, Huculów.

Huculszczyzna to ziemia nadzwyczaj ciekawa i pociągająca, to prawdziwe uroczysko Polski, nęcące zarówno pięknosciami przyrody, jak i odrębnymi cechami ludu, który posiada tutaj swą własną kulturę i sztukę i niczem, prócz religii i języka, nie przypomina innych Rusinów.

Wyobraźcie sobie krainę wysokich gór, wielkich, starych lasów, krainę szparko biejących wód i wsi wciśniętych tu i ówdzie między góry, wyobraźcie sobie po zapadłych ustroniach pieczary i przywiązane do nich podania i gadki ludowe o opryskach, z których najślawniejszym był Dobosz — a będziecie mieli przybliżony i domniemany obraz Huculszczyzny. Aby obraz ten był pełniejszy, zobaczyć trzeba człowieka, który tu mieszka, przyjrzeć się jego twarzy, poznać jego usposobienie, strój, sposób życia i sztukę.



TYPY HUCULSKIE

Hucul jest zazwyczaj wzrostu wysokiego, cerę ma śniadą, rysy pociągłe i ostre, oczy bystre, włosy ciemne i długie. Zarost na twarzy goli, pozostawiając tylko sumiaste, wdół opuszczone wąsy.

Dzika, niełatwa do pokonania przyroda i niebezpieczeństwa, wyrobiły w Hucule odwagę, ruchy prężne i zwinne. Jako nieodrodny syn gór, kocha nade wszystko swobodę.

Zamiłowany w barwnym stroju używa bogato zdobionego serdaka i czerwonych spodni. W stroju takim wygląda malowniczo i dziarsko na tle ciemnej zieleni lasów, zwłaszcza gdy dosiądzie małego lecz silnego konika górskiego, zwanego tu również „huculkiem”.

Przepiękny widok, godny malarskiego pędzla przedstawiają Huculi, gdy w niedzielę, po nabożeństwie, wysypią się barwną gromadą z swej drewnianej, ciekawie zbudowanej i kopulastej cerkiewki, lub zbiiorą się podczas jarmarków na gwarnych i rojnych rynkach Kut, Kosowa, czy Kołomyi.

Podobnie jak górale podhalańscy, wypędzają również Huculi w lecie swe trzody na łąki górskie, które zwą się tu

taj połoninami. Na połoninach lecą wtedy wdal po lasach dźwięki długiej huculskiej trombity, budząc wśród pustkowi górskich niezapomniane wrażenie.

Pasterstwo, wyrąb i spław drzewa, to główne zajęcia i środki utrzymania Hucula. Uboga, kamienista gleba, prócz ziemniaków i owsa nie daje niczego.

Lud, który żyje wśród czarów przyrody i czuje w sobie duszę wolną, myśl swobodną, szybującą jak ptak — lud ten ma żywe odczucie piękna i stworzył własną bogatą i oryginalną sztukę, przede wszystkim rzeźbę. Rzeźbione toporki, lichtarze, szkatułki, talerze i noże do



GORGANY





WESELE HUCULSKIE

rozcinania papieru zdobi Hucul mosiężnym drutem i paciorkami, a w żmudnej i delikatnej tej robocie nikt go prześcignąć nie zdoła.

Drugą gałęzią sztuki huculskiej jest ceramika, to znaczy artystyczne garncarstwo, z użyciem różnokolorowej emalji (szkliwa, polewy). Sztuka ta uprawiana oddawna na Huculczyźnie głównie przez Polaków, rozszerzyła się znacznie wśród ludności tubylczej, a garncarz z Kosowa, Aleksander Bachmatnik, który podpisywał swoje cenniejsze wyroby po polsku i polskiem nazwiskiem „Bachmiński” — zasłynął nawet w swoim czasie w całej Małopolsce.

Swobodny syn przepięknych gór, odważny i śmiały Hucul, ulega łatwo czarowi bohaterstwa. Toteż kiedy w pamiętnych latach 1914 i 1915 walczyła z najazdem wroga, na terenie Huculczyzny, druga brygada Legjonów i tu budowała swą słynną drogę przez przełęcz Pantyrską — młodzi Huculi, olśnieni bohaterstwem żołnierzyków polskich, zaciągali się gromadnie w szeregi legjo-

nowe i z dumą zdobili czapki orzełkiem strzeleckim. Dzisiaj spotyka się w górach nierzadko Hucula, który na niedzielę i święta przypina do serdaka „Krzyż Niepodległości”, wysokie odznaczenie, przyznane tym wszystkim, którzy walczyli o wolność Polski w wielkiej wojnie światowej.

Przywiązany szczerze do Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, żywi Hucul głęboką cześć dla Pana Prezydenta jako najwyższego władarza w Państwie, żywi serdeczną miłość do ś. p. Marszałka Piłsudskiego, któremu w dniu 19 marca złożył kilkakrotnie w upominku swoje piękne, wysoce artystyczne wyroby.

W ostatnich czasach wzrosło znacznie w Polsce całej zainteresowanie Huculczyzną. Powstało Towarzystwo Przyjaciół Huculczyzny, które rozwija bardzo pożyteczną i owocną działalność. Towarzystwo to dba o materialne i duchowe potrzeby Huculów, zaspakaja je w miarę możliwości, budzi dla ważkich swych celów zrozumienie w kraju i całą Polskę zbliża do Huculów i ich cudow-

nego zakątka. W r. 1934 urządzono w Worochcie „Święto Huculszczyzny”, połączone z olbrzymim zjazdem gości z całej Polski, z produkcjami orkiestry huculskiej i zawodami sportowymi.

W szranki stawali również licznie Huculi, zdobywając Państwową Odznakę Sportową.

Cudowne góry i lasy, wysokogórskie wycieczki, prześliczne widoki, ożywcze powietrze, doskonałe kąpiele rzeczne i lud piękny i interesujący — ściągają rok rocznie liczne zastępy turystów i gości, którzy w Pasiecznej, Zielonej i Rafajłowej, w Jaremczu, Tatarowie, Worochcie, Żabiem i wielu innych miejscowościach, znajdują po pracy miłe wytchnienie i nakarmić mogą duszę dosyta urokiem, jaki daje gościnną i prześliczną krainą Huculów.

Kiedyś, przed stu laty blisko, bawił na Huculszczyźnie wybitny nasz pisarz, Józef Korzeniowski, i na tle życia ludu tutejszego stworzył przepiękną sztukę sceniczną „Karpacy Górale”. Do dramatu tego wplótł piosenkę, którą do dziś, jako powszechnie znaną i lubianą, śpiewamy:

Czerwony pas, za pasem broń
I topór, co błyska zdala,
Wesoła myśl, swobodna dłoń —



MUZYKA HUCULSKA

To strój, to życie górala.
Tam szum Prutu, Czeremoszu
Hucułom przygrywa,
A ochoza kołomyjka
Do tańca porywa.
Dla Hucuła niema życia
Jak na połoninie,
Gdy go losy w doły rzucą
Wnet z tęsknoty ginie...

Mieczysław Opalek

W S Z A Ł A S I E

— Pospieszajcie, chłopcy, bo wielka hodyna (burza) idzie!

Stary wataha, Ostap, niespokojnie rozejrzał się po niebie. Ze wszystkich stron nadciągały gęste chmury, otulając

czarnym tumanem szczyty Liśniowa, Jawornika i Gorgana.

Pasterze z pośpiechem zaganiali bydło z łąk górskich między koliby (szalasy).



— Prędejj, prędejj! — nawoływał Janek, — w taki czas kum mysio lubi do marzyny (bydła) zaglądać.

Ale nim spędzili bydło, niebo znów się przetarło i cała nawałnica poszła bokiem po grzbietach górskich.

Zapadał chłodny, jesienny wieczór. Stary Ostap rozkazał chłopakom naznosić drewek na ognisko i po chwili wokół wesoło płonącej watry zasiedli wszyscy do posiłku.

Pożywiali się zwykłą strawą huculów: małajem (plackiem) z kukurydzy, serem owczym i huślenką (kwaśnem mlekiem).

Najmłodszy z pastuchów, Taras, prosił Ostapę:

— Opowiedzcie nam, djetku, o majkach! (o boginkach).

Wataha nałożył fajkę tytoniem, zapalił i zaczął z namysłem opowiadać:

— Kiedy u nas na carynach (łąkach) mieszkaly majki, lepiej dzialo się Hucułom.

Ale teraz poszły za góry, za lasy.

— Dlaczego poszły? — spytał Janek.

— Bo im pasterze dokuczylil. Mialy tu majki jeziorcko, z którego czerpały

wodę do picia. Ale łeginom (parobkom) zachciało się zbytów i codzień zaśmiecaili chróstem tę wodę. Majki spoczątku oczyszczaly jeziorcko, wkońcu jednak znudzilo się im. Zabrały się het, na Czarnohorę!

— I niema ich teraz?

— Niema ani jednej, a krowy od tej pory mniej mleka daja.

Mały Taras przysunął się bliżej do ogniska:

— Zimno się robi! — westchnął, grzejąc zgrabiając od chłodu ręce.

— Dorzućcie tam który łomaków do watry (ogniska)! Niedługo trza się nam zbierać w doliny. Tylko patrzeć, jak święty Dymitr odda klucze Mikołajowi.

— To święty Dymitr jest patronem jesieni? — spytał Janek.

— A tak. Chłód i przymrozki na świat wypuszczza.

— A Mikołaj?

— Ten znów rządzi zimą i całą zwierzyną.

— A ja znam gadkę o Mikołaju! — zawołał Taras, — chcecie posłuchać?

Chłopcy skupili się koło malca, zaciekawieni.

Taras mówił:

Przy złotym stole
Siedzi Mikołaj,
Gadki ciekawe
Mikołaj prawi.

Ze ściany srebrne zdejmuje rogi.
Bieleją góry, bieleją drogi.
Gdy srebrne rogi głośno zagrały,
Zastygła woda, zamarzl świat cały.

— Piękna gadka! — przyświadczył
stary Ostap, — a wiecie, chłopcy, jak
to Mikołaj prowadzi wiosnę do święte-
go Jura?

— Nie wiemy, djetku, powiedźcie
nam!

Wataha zmarszczył czoło:

— Jakże to tam szło? Poczekajcie,
może przypomnę.

Po chwili zaczął mówić:

Idzie już Mikołaj, wiosnę z sobą woła,
Wiosnę z sobą woła, zimę pędzi z siola.
Plackiem wielkanocnym

wabi z sobą wiosnę,
A zimę precz goni

mieczem jasnym, ostrym.
Mieczem luskającym —

wietrzykiem ciepłutkim,
Wietrzykiem ciepłutkim,

deszczykiem drobniutkim.

— A co Jur robi, djetku? — za-
gadnął milczący dotąd Grzegorz.

— Jur wypuszcza wiosnę z zamknię-
cia i burzę wiosenną zsyła na świat.
A kiedy weźmie złoty róg do ręki...

— Pewnie taki, jak moja trombita!
— przerwał mu Grzegorz ze śmie-
chem, podnosząc dogóry długą trąbę
z świerkowego drzewa.

— Może i taki, tylko bogatszy, —
przytaknął Janek, wyrzynając ostrym
kozikiem w drzewie piękną łyżkę.

Wszyscy pasterze bawili się taką ro-
botą. Misternie rzeźbione nożyki i wi-
delce, pudełeczka, zdobne w gwiazdki,
zębki i liście leżały wokół chłopców.
Grzegorz wykańczał swoją trąbę, okrę-
cając ją korą brzoźową.

— Mówcie dalej, djetku! — prosił
Taras.

— ...a jak zatrąbi Jur na złotym
rogu, zielenieją góry-doliny, — ciągnął
Ostap opowiadanie, — potem ciepłym
deszczykiem topi zimę, a wiatrem buj-
nym ziemię suszy. Słoneczko nad gó-
rami wschodzi i młoda, hoża wiosna
przylatuje na wronym koniku.

— Żeby już przyleciała! — zawo-
łał Janek, otulając się szczelniej w ko-
żuszek. I nagle podskoczył, huknął
w dłonie na rozgrzewkę i zaśpiewał:

Na wysokiej połoninie
Bujny wiatery wieje,





Jaka wiosna wesolutka,
Wszystko zielenieje!

Taras obejrzał się na dalekie pasma gór, ale w gęstej mgłę gronie zatoneły bez śladu.

— Mraka dziś okropna, djetku! Żeby tylko jaki wołkun (wilkołak) do nas nie przyszedł.

— Nie bój się! Wołkun nie zrobi nam krzywdy, — uspakajał go Grzegorz, — gorzej, gdyby tu niedźwiedź zajrzał. W takiej ciemności łatwo skotyń (sztukę bydła) może złapać.

Pasterze z niepokojem spoglądali ku górcom, ale Tarasowi oczy zaświeciły uciechą:

— Niechby przyszedł mysio, radbym go w żywe oczy zobaczyć. Już jabym mu dał!

— Głupiś ty, chłopcze. Niedźwiedź ma siłę okropną. Za dwunastu ludzi starczy. Jakbyś go chciał bić, toby ci kędzierze ze łba ściągnął ze skórą, albo i kark połamał. Najlepsza rada na niedźwiedzia, to...

Ale nie zdążył Ostap dokończyć zdania, bo nagle ze wszystkich stron rozległo się gwałtowne ujadanie psów i ryk spłoszonego bydła.

— Mysio! — wrzasnęli pasterze, zrywając się od ogniska.

Ostap pędził naprzód.

— Krzycicie, a głośno, to się nastraszy i pójdzie! — wołał do chłopców.

Przez długą chwilę na połoninie panowała straszliwa wrzawa. Pasterze trąbili, krzyczeli co sił, pohukiwali rozgłośnie. Psy szczekały i wyły bezustanku. Wreszcie wrzask ogłuszył groźnego zwierza. Niedźwiedź porzucił koliby i wąskim płajem (ścieżką) uciekł w góry.

Pasterze z niepokojem oglądali szkody, poczynione przez misia, ale na szczęście bydło ocalało cudem, tylko jeden wół miał ranę na karku i dwa psy, mocno okaleczone, skomliły w pobliżu szałas.

— Podoba ci się teraz niedźwiedź? — spytał Ostap małego Tarasa.

Chłopiec siedział na ziemi, tuląc w objęciach skomlącego pieska.

— Oj, nie chciałbym już się z nim spotkać! — westchnął pastuszek, — pohany zwierz!

Stary pokiwał głową:

— Wczesna będzie zima, kiedy już mysio zakrada się do kolib. Trzeba od jutra zbierać się w doliny.

Wanda Grodzieńska

JAK MANIEK KŁUSOWNIKA UNIESZKODLIWIŁ

Opowiadanie F. A. Ossendowskiego.

— Uf! — parsknął jedenastoletni Maniek i prostując ręce i nogi, zawołał radośnie: — Nareszcie w domu!

Istotnie był już w domu. Przyjechał z Kołomyi, gdzie chodził do szkoły, mieszcząc u cioci Agaty, i cieszył się teraz wszystkim. Rodzice przywieźli go samochodem, a długa droga znużyła nieco chłopaka. Zaledwie jednak stanął na twardej ziemi, zmęczenie minęło odrazu. Dom — duży, z szeroką werandą, stał w ogrodzie, pełnym kwiatów. Od drogi zasłaniały go stare modrzewie, — rzadkie już teraz drzewa na Huculszczyźnie. W wąskiej dolinie, ściśniętej lesistymi zboczami gór, panował warkot i syk niemilkący. To pienny Czeremosz Biały, skacząc po zwalach kamieni i pluszcząc pod zwisającymi skałami, pędził, jak szalony. Jemu zaś z drugiej strony wtorowała gwarliwa Probijna, łącząc się z nim za mostem drewnianym.

Maniek ogarnął spojrzeniem całą okolicę. Znał ją dobrze i oddawna. Przecież już szósty rok tatuś kierował tu nadleśnictwem, tartak budował i tratwy posyłał do Kut i do Rumunji. Uśmiechnął się więc chłopak do gór i rosnących na

nich ciemnych borów świerkowych, do chat huculskich, rozrzuconych tam i sam po łąkach wśród lasów, i w podskokach wesołych, pokrzykując, wbiegł na podwórze.

Zwykle wybiegał na spotkanie chłopaka 16-letni Hucul — Ołekska. Nie widząc go teraz, Maniek zapytał ojca o stajennego.

Nadleśniczy nachmurzył czoło i, machnąwszy ręką, mruknął:

— Strzeż się, coś ci do głowy, porzuć pracę i gdzieś poszedł sobie... Nic o nim nie słyszałem...

Maniek posmutniał i westchnął cichutko. Wiadomość o odejściu Ołeksy sprawiła mu przykrość i gorzki zawód.

Cóż będzie robił przez całe wakacje bez tego chłopca? Z kim będzie chodził z wędką na pstrągi? Kto mu pokaże w nocy, przy świetle płonącego łuczywa, wielkie ryby — drapieżne głowacice, zaczajone wśród kamieni na Czeremoszu? Maniek znowu westchnął, bo przypomniał sobie dalekie wycieczki w góry, gdzie Ołekska umiał odnajdywać kryjówki kun, siedzące w gnieździe głuszycy i wabić jarząbki, które wnet furkotać





NA POŁONINIE

zaczynały po świerkach pobliskich. Posłyszawszy głos mamy, wołającej go do domu, gdyż przed obiadem wypadło umyć się starannie i zmienić zakurzone ubranie, — ze zwieszoną głową wszedł na werandę.

Podczas obiadu spytał ojca:

— Tatusiu, kiedy pojedziemy na połoniny?

— Za jakieś dwa tygodnie, Mańku,— odpowiedział nadleśniczy, — teraz wykończyć muszę naprawę maszyn w tartaku!

— Dwa tygodnie?... — powtórzył chłopak. — To strasznie długo!

Wiedział jednak, że skoro wymagały tego obowiązki ojca, nie mogło być na to rady, więc, pomyślawszy chwilkę, zadał nowe pytanie:

— A czy pozwolicie mi wziąć konia i pojechać do leśniczego na Jałowiczorę?

— Manieczku, synku!... — zaniepokoiła się mama, ale ojciec, kiwnąwszy głową, powiedział:

— Chłopak już duży, nic mu się nie stanie! W spokojnych przecież żyjemy stronach i lud tu łagodny i cichy. Niech jedzie. Weźmiesz tylko, synku, «Wichra», bo ten koń posłuszniejszy, a przytem prawdziwy to hucul, więc mądry, silny i ostrożny. Nigdy nie zrzuci jeźdź-

ca, nie potknie się, nie zbłądzi i zawsze do miejsca dowiezie! Dobry konik!

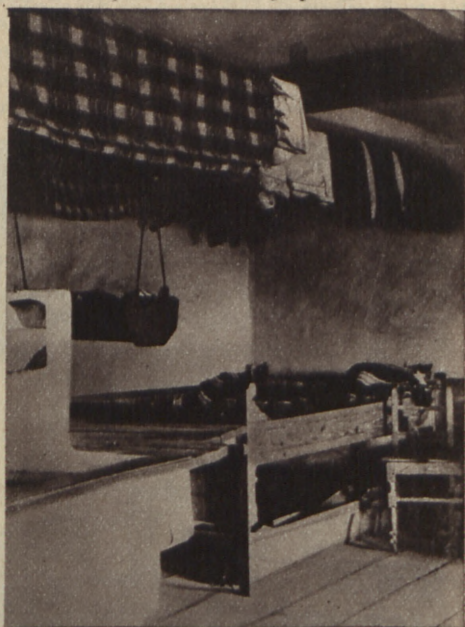
Słowa ojca uradowały chłopca. Pojedzie na Jałowiczorę! Lubił tę drogę, wijącą się brzegiem Białego Czeremoszu. Jadąc, przyglądać się mógł wsiom huculskim na przeciwległym—rumuńskim brzegu, posterunkom i patrolom straży granicznej i wyskakującym z wartu pstrągom, polującym na motyle i jętki, szybujące nad wodą. Lubił też bardzo pana Góreckiego, młodego, wesołego zawsze leśniczego, który co roku miał w stajni małe wilczki lub lisy, oswajał różne ptaszki, co z lasu przylatywały do jego okna i podbierały rzucane im ziarna, a raz, znalazłszy w lesie małego pułacza ze złamanem skrzydłem, wyleczył go i chciał puścić, ale ten poważny zawsze i napszony jegomość przez długi jeszcze czas wynosić się nie chciał.

Szczególnie jednak ciągnęła Mańka do Jałowiczory inna okoliczność. Niedaleko stamtąd, może o pół dnia drogi przez piękny bór, na szczytach rozpięrały się połoniny. Te łąki wysokogórskie, okryte bujną i pożywną trawą, miały różne nazwy—Czarna Dukonia, Hostów, Hnatasia, Palenica, Michajłowa, — i pociągały ku sobie chłopaka.

Odbywały się tam „litowyszczą”, to

znaczy wypas bydła spędzanego z bliższych i dalszych okolic. Przez cały dzień rozlegały się tam okrzyki pastuchów-juhasów, poszczekiwanie dużych, złych psów owczarskich, ryk bydła, bek owiec i rzenie koni. Tam gospodarz poloniny — „watah” trąbił w „trembitę”, zwołując pasterzy na posiłek, dojenie krów i na nocleg. Tam w chacie — „stai” wazrył on bundz ¹⁾ i przerabiał go na smaczną i zdrową bryndzę, a przy płonącej wesoło watrze ²⁾ dziwne, tajemnicze lub straszne opowiadał bajki — tak zapewne stare, jak te potrzaskane i spękane skały, mchem burym i szaremi porostami pociągnięte.

W parę dni po przyjeździe do domu, chłopak wybierał się już na wycieczkę do Jałowiczory. Przed domem stał osiodłany „Wicher”, a kucharka Paraska uwiązywała do łęku „terkiły” — skórzane torby z bielizną zapasową i pożywieniem. Pożegnawszy rodziców, Maniek wyjechał na brzeg Czeremoszu i poganiając konika, ruszył przeciwko prądowi rzeki. Wkrótce pozostały za nim ostatnie chaty rozrzuconej po górach wsi



WNĘTRZE CHATY

1) Ser.

2) Ognisko.



GORGANY

i ku samej drodze przysunął się las, ręką ludzką nie tknięty jeszcze.

Nad rzeką ciągnęły się zarośla olszowe, łączyły się z bukami, co to na jesieni złotemi i czerwonemi zdobią się liśćmi, a tuż za nimi strzelały ku niebu gonne pnie świerków, wspinających się po spychach stromych coraz wyżej, coraz wyżej... Szczebotały ptaszki w krzakach leśnych i jarzębin, oplecionych powojami, pachniało żywicą, grzybami, tawułą i wodą, pędzącą z sykiem tuż pod zwisającymi nad rzeką skałami. Jęczała rybitwa, wpatrzona w mknący nurt. Gdzieś — wysoko pod obłokami — kwilił drapieźnie jastrząb. Tam i sam z głośnem kłaśnięciem zrywała się szyszka świerkowa i uderzała głucho o ziemię.

Z wartkim prądem Czeremoszu, robiąc gwałtowne zakręty na załomach jego koryta, płynęły tratwy. Trzymając w mocnych dłoniach rudle długich drygawek, flisacy — „kiermanycze” uprzejmie pozdrawiali młodego jeźdźca i szybko przepływali, wpatrzeni baczenie w nagłe pętłe łożyska, w kamienie, sterczące z wody i w sztucznie zbudowane progi, piętrzące wodę na rozlewiskach szerokich i miałkich.

Trzy godziny zabrała Mańkowi droga do Jałowiczory, gdzie oczekiwała go przykra niespodzianka. Z leśniczówki wybiegła do gościa służąca i oznajmiła, że pana Góreckiego niema w domu, gdyż gajowy Oksza doniósł mu o kłusowniku, grasującym koło potoku Hramitnego. Ponieważ chłopiec znał starego, doświadczonego Okszę, do gajówki zaś jego mógł dotrzeć w godzinę, pożegnał dziewczynę i ruszył w dalszą drogę.



HUCUŁKA

Wąska ścieżka prowadziła ku przełęczy Watanarka. Biegła narazie przez bór świerkowy. Mrok ogarnął chłopaka. Odychał ciężko, ponieważ skwarne powietrze przepojone tu było wilgocią i oparami żywicy. Gdzieś w pobliżu, niewidzialny na dnie jaru, dzwonił potoczek, pędząc ku Czeremoszowi. Perć poczęła gwałtownie wspinać się w górę niemal prostopadle i uciążliwie dla konia. Maniek zeskoczył z siodła i puścił „Wichra” wolno, idąc za nim i oglądając się wokół. Spozstrzegł jarząbka, przyciśniętego do suchej gałęzi świerkowej, po chwili znów — rudą wiewiórkę, która rozpostarła nad sobą kity, niby parasol, i przyglądała się koniowi, zabawnie poruszając pyszczkiem. Nieco dalej — z łopotem skrzydeł zerwał się czarnopiórny głuszc i zapadł w gęstwinie młodniaka.

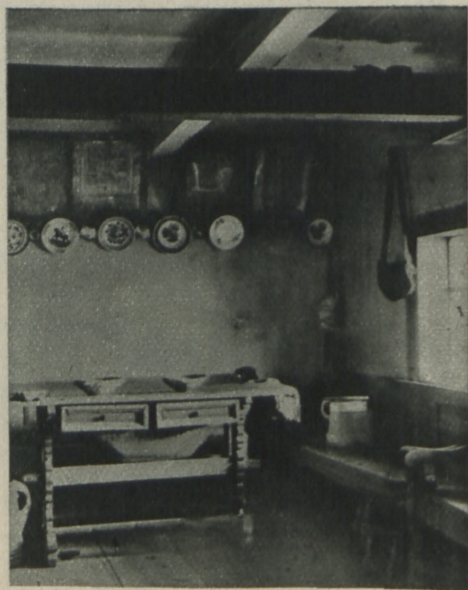
Przez gęste łapy świerków wyjrzał błękit nieba. Zbliźali się ku szczytowi przełęczy.

„Wicher” przystanął, aby odetchnąć po trudnym wspinaniu się po śliskiej od suchego igliwia ścieżce, przysypanej grubym i ostrym piargiem, kaleczącym kopyta. W kilka minut potem Maniek stanął przy koniu, który dyszał ciężko. Nagle „Wicher” targnął łbem i zachrapał. Zdziwiony chłopak jął oglądać się na wszystkie strony.

Ujrzał przed sobą nagie zbocze góry. Sterczały tam pnie — żalosne resztki rosnącego tu niegdyś lasu, co poległ pod ciosami siekier drwali huculskich. Na starym porębie pozostały jeszcze stopy suchych, butwiejących gałęzi; gdzieniegdzie unosił nad tem cmentarzyskiem niłą koronę cherlawy świerczek, oszczędzony przez ludzi, ale z ziemi wysypała się już szczecina młodej porośli świerkowej, którą zagłuszyć i zabić usiłowała obficie wybujała buczyna.

Koń chrapnął raz jeszcze i drgnął. Zdziwiony tem Maniek próżno jednak szukał przyczyny jego niepokoju. W borcu i na porębie panowała cisza i chłopak nie dostrzegł w gęstwinie żadnej żywej istoty.

— Coś ci się przywidziało, «Wicher»



WNĘTRZE CHATY



CERKIEW W WOROCHCIE

ku»! — szepnął chłopiec i poklepał konia po spoczonej szyi.

W tejże samej chwili z wysokich zarośli bukowych z wrzaskiem poderwała się sroka i, częstotliwie machając skrzydłami, wpadła w gąszcz łąp świerkowych, pokrzykując trwoźnie.

Gdzieś niedaleko od ścieżki, przecinającej poręb, załomotało coś w krzakach, trzaskając poczęły i uginać się tratowane gałęzie i — nagle z gęstwiny wynurzył się wspaniały jelen. Zarzuciwszy rozłożysty wieniec³⁾ na zjeżony kark, przesadził leżącą w trawie kłodę, lecz spostrzegł, widząc konia i człowieka, więc śmignął płowem ciałem, zwinął się na miejscu i z tupotem racic skoczył znowu w haszcze.

Maniek widział jeszcze migający wśród pędów buczyny i małych świerczków biały talerz⁴⁾ jelenia, gdy buchnął raptem strzał i głośnym echem biegł od drzewa do drzewa i od zbocza gór do dalekich wierchów aż umilkł na nich. Je-

³⁾ Rogi.

⁴⁾ Tylna część ciała jelenia.

leń wybiegł znowu na otwarte miejsce. Sunął ciężkimi skokami, potykając się co chwila i chrapiąc głośno. Poślizgnąwszy się na korzeniach, padł i począł wierzgać nogami, usiłując wstać i biec na oślep, ale po chwili wyciągnął szyję, wydał jękliwe rżczenie i zeszywniał.

Maniek stał, jak osłupiały i trochę przerażony. Wiedział przecież, że polowanie na jelenie w nadleśnictwie od kilku już lat zostało surowo zakazane, nie wątpił więc, że to właśnie wytropiony przez Okszę kłusownik, odwiódłszy gajowego aż na Hramitny, uprawiał ściganie prawem łowy na Watanarce.

Przyjrząwszy się uważnie leżącemu zwierzęciu spostrzegł na boku jego broczącą krwią ranę. Mańkowi żal ścisnął serce. Wydało mu się strasznie, okrutnie i bezmyślnem pozbawienie życia tak pięknego i rzadkiego zwierza. Przypomnił sobie jednak, że, jak nieraz opowiadał mu ojciec, spotkanie z kłusownikiem częstokroć staje się niebezpieczne dla przypadkowego świadka zbrodni. W pośpiechu wprowadził więc konia do wysokich zarośli, zaczaiwszy się za pnem świerkowym.



HUCUŁKA NA KONIU

Po chwili posłyszał czyjeś ostrożne, skradające się kroki i lekki szmer rozsuwanych krzaków.

— Kłusownik zapewne, chce się przekonać, że w pobliżu niema nikogo... — domyślił się Maniek.

Istotnie—krzaki poruszyły się wkrótce i z nich wyszedł Hucuł z karabinem i siekierą za pasem. Kłusownik miał na sobie stary kapelusz — zwykłą „kresanię” góralską z barwnymi bajorkami⁵⁾, „keptar” — serdak, haftowany zielone mi niemi, i czerwone spodnie — „kraszennycie”, koło kostek omotane onuczkaami. Na nogach widniały nowe kierpcie, rzemykami do stóp uwiązane. Kłusownik, obejrawszy się raz jeszcze, oparł karabin o wystający pień i pochyliwszy się nad zabitym jeleniem, zaczął wciągając zdobycz do gąszczu.

Maniek patrzył na to wszystko z ciekawością, ale jednocześnie, sam tego nie czując, myślał o tem, co się przed nim działo. Jakiś niepokój go ogarnął, coś zmuszało go do działania i — postanowienie przyszło samo. Cicho wyślizgnął

się chłopak ze swej kryjówki i czając się w wysokiej trawie, skradał się do pnia, gdzie polyskiwała lufa strzelby.

Wreszcie wyciągnął rękę i ujął karabin.

Umiał obchodzić się z bronią, gdyż miał w domu flower i niejednokrotnie pomagał ojcu w czyszczeniu jego karabina, więc bez szczerku otworzył zamek i zajrzał do lufy. Tkwił w niej wprowadzony po strzale nabój.

Maniek wciągnął głębiej powietrze i przypomniawszy sobie opowiadania gajowych o wyprawach ich na kłusowników, wszedł w gąszcz bukowej porośli. Trzymając karabin w pogotowiu, skradał się ostrożnie, bez szmeru rozsuwając gałęzie. Na małej polanie, ukrytej wśród krzaków, stał nad ubitym jeleniem Hucuł z nożem w rękę.

— Nie ruszaj się, bo strzelę! — krzyknął Maniek mocno drżącym głosem. — Odrzuć nóż! No, tak, a teraz (czytał to w powieściach o walecznych cow-boyach! ⁶⁾) — ręce dogóry!

⁵⁾ Sznury z włóczki dla ozdoby kapelusza.

⁶⁾ Czytaj — Kou - boj. Są to konni pasterze w stepach Ameryki Północnej.

Hucuł spełnił wszystkie rozkazy ukrytego w haszczach chłopca i to tak skwapliwie, że aż mu kapelusz spadł z głowy. Maniek wydał zdumiony okrzyk:

— Ołeksa?! To ty — ten kłusownik?

Zbierało mu się na łzy. Przykro mu było i boleśnie, że Ołeksą, którego tak lubił, stał się zbrodniarzem.

— Ołeksa... — powtórzył z rozpaczą w głosie i wyszedł na polankę.

Hucuł, ujrawszy go, zasłonił nagle twarz rękami, zapłakał głośno i żałośnie, bełkocąc przez łzy:

— Paniczu... ratujcie! Ostatni to już raz kłusaczyłem... Niech mnie zabije stary Petro, ale już nigdy nie wezmę do rąk karabina... Paniczu... paniczu...

Łkał na głos i nic więcej powiedzieć nie mógł.

Maniek dotknął jego ramienia i szepnął:

— Pamiętasz, jak to razem drapailiśmy się na szczyt Muczalyka, jak chodziliśmy przyglądać się pstrągom, wyskakującym z wyboju pod wodospadem? W zeszłym roku o tej porze znaleźliśmy dziuplę, a w niej — kunę... Pamiętasz, Ołeksą? Potem chorowałeś, bo



ci kamień na nogę spadł... Mama maść ci nakładała i leczyła... Wyzdrowiałeś prędko! Ojciec lubił ciebie i w zimie do szkoły posyłał, konia ci dawał... Mówiłeś mi wtedy, że nie wierzysz, iż nie słońce koło ziemi, lecz ziemia koło słońca krąży! Śmieliśmy się wtedy obaj!... A cóż teraz będzie?.. Ołeksą! Ołeksą! Tatuś będzie miał przykrości, że mu jelenia zabito, a ty... mój Boże!

Hucuł padł na ziemię i tłukł się głową o pień.

— To stary Petro skusił mnie... Porzuciłem służbę w nadleśnictwie, a teraz — koniec! Więzienie... Koniec!

Maniek usiadł obok Ołeksy i zamyslił się. Nie słyszeli, że gdzieś, zupełnie



PRUT POD JAREMCZEM



HUCULSKI WAZONIK

blisko warknął pies, a po chwili z krzaków wyszli na polankę pan Górecki z gajowym, trzymającym na smyczy wilka.

— Panie leśniczy! — zawołał chło-

pak, wskakując z ziemi. — Spotkałem Ołeksę i razem z nim ścigaliśmy kłusownika, który zabił jelenia. Uciekł nam kłusownik, ale zato porzucił karabin...

Leśniczy spojrział bystro na płaczącego Ołeksę, potem na Mańku zatrzymał pytający wzrok. Po chwili powiedział:

— Panie Oksza! Przyjedźcie tu na koniu i odstawicie jelenia i karabin do nadleśnictwa.

Szybko schodzili stromym zboczem Watanarki. Ołeksa prowadził „Wichra”. Koń poznał go i co chwila przyciskał łeb do ramienia Hucuła. Oksza siedł na końcu, pykając fajeczkę i coś sobie mrużąc pod nosem. Leśniczy dotknął ramienia Mańka i szepnął:

— Musisz sam załatwić tę sprawę z tatusiem...

Chłopak podniósł oczy i spojrział na pana Góreckiego z wdzięcznością.

NA POŁONINIE

Na zielonej połoninie
oko ginie, dusza ginie.
Dzwoneczkami grają owce,
trubitami las rozbrzmiewa,
a przez debry i manowce
Prut w kamieniach skacze, śpiewa.
Wdole wioska. Ludzie gwarzą,
naszczekuje pies kudłaty,
a w rańtuchu krasno tkanym
mołodycia wyszła z chaty.
Tuż przy drodze, pod figurą,
szepce ślepy did pacierze,
donia nuci kołomyjkę,
w Czeremoszu chusty pierze.
Śpiewa donia kołomyjkę
i did szepce rozmodlony,
a ku góróm i ku lasóm
niosą pieśń cerkiewne dzwony.

W górach mieszka Leśna Cisza
i wspomnienia chodzą nocą,
gdy nad grobem legionisty
ptaki w drzewach załopocą.
Niedźwiedź śpi w armatniej jamie,
wilk zapłacze się w zasiekach,
Wódz siedł tędy z Legjonami,
Biały Orzeł krwią ociekał.
O zachodzie złoci lasy
zorza jasna i czerwona,
nad Pantyru ciemnym pasem
krzyż podnosi wżwyż ramiona.
Czerwienieją buki w zorzy,
połoniny, lasy, skały,
zorzą płonie i znak Boży,
co ramiona swe otworzył
nad huculską śpiewną ziemią,
znak cierpienia, krwi i chwały.

Wanda Malicka

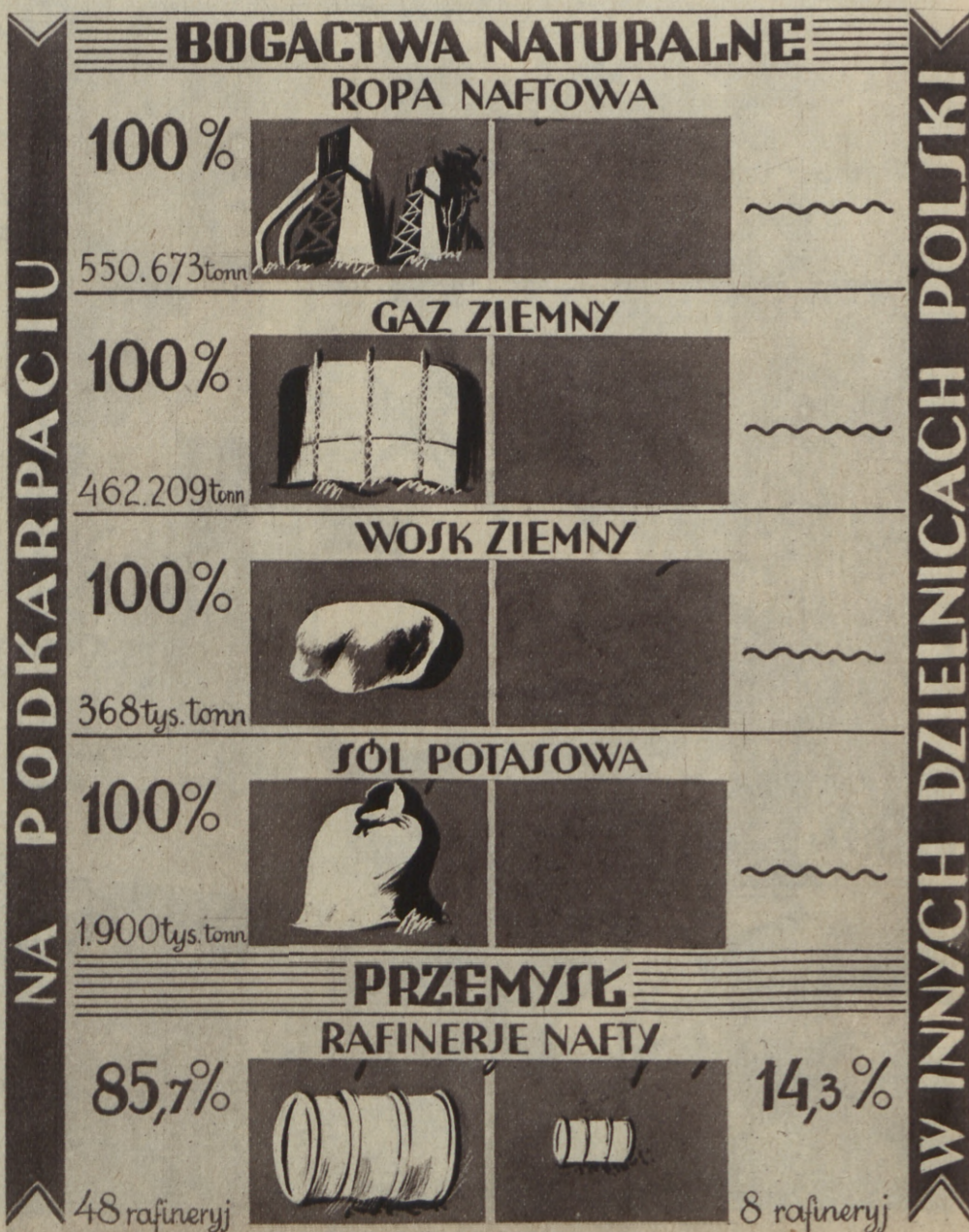
KTO CHCIAŁBY DOWIEDZIEĆ SIĘ CZEGOŚ O MIESZKAŃCACH TATR,
GÓRALACH, NIECH ZAMÓWI W NASZEJ ADMINISTRACJI NR. 6 „PŁO-
MYKA” Z R. 1934, POŚWIĘCONY TATROM I PODHALU. KOSZTUJE 20 GR.



PRZED CHATA

CO POLSCE DAJE PODKARPACIE

Któż nie słyszał o pięknie okolic podkarpackich, ściągających latem i zimą liczne rzesze turystów. Lecz Podkarpacie to nietylko kraj malowniczych widoków i wspaniałych terenów narciarskich. Znajduje się tam wiele bogactw naturalnych, nieraz niespotykanych w innych dzielnicach Polski. Poniższe obrazki wykazują, co Polsce daje Podkarpacie w produkcji rocznej.

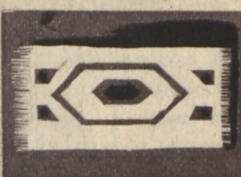


NA PODKARPACIU

W INNYCH DZIELNICACH POLSKI

WYTWÓRNIE KILIMÓW

90,8%



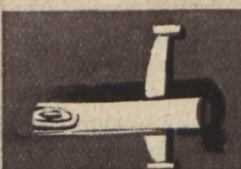
9,2%

49.000 m²

5.000 m²

TARTAKI

10,7%



89,3%

564 tys m³

4726 tys m³

ZIEMIOPŁODY

KUKURYDZA

95,6%



4,4%

724.891 q

32560 q

PSZENICA

21,5%



78,5%

4483.978 q

16.419.951 q

KONOPIE

41,1%



58,9%

44.214 q

59.817 q

LEN

9,9%



90,1%

29.938 q

278.250 q

DZIECI GÓRSKICH KNIEJ

Młody żbik przeciągnął się leniwie. Wyprężył szaro-brunatny w ciemne poprzeczne pasy grzbiet — wygiął się w pałąk, mruknął i wyjrzał ze swojej kryjówki. Przez cały dzień drzemał pod potężnym, długie lata leżącym wykrotem świerkowym. Ongiś srogi wiatr z południa przewalił się przez łańcuch Karpat, zahaczył mocarnym skrzydłem o zbocza Szpyci i położył pokotem wiele drzew niebotycznych. Pod wyrwanymi wraz z ziemią korzeniami jednego ze świerków urządził sobie legowisko żbik. Jakiś głos tajemniczy wskazał mu to miejsce. Głos ten był zewem krwi niezliczonych pokoleń żbiczych, co żyły tu, mnożyły się i ginęły. Instykt przodków głośno się odzywał w młodym kociaku, co urodził się pod koniec kwietnia w rozpadlinie skalnej, gdzie spędził dnie dzieciństwa wraz z pięcioma braciszkami i siostrzyczkami. Całe rodzeństwo rozeszło się po szerokim lesie, co się ciągnął długim pasmem zboczami niedostępnymi gór...

Od samego rana pełzała po lesie szaruga jesienna, mżył deszczyk, kołysząc do snu wtulonego w ciepłe gniazdko żbika. Gdy zmierzch zapadał, poczuł on niemilą pustkę w żołądku i, chcąc — nie chcąc, musiał wyruszyć na łowy. Miękkim, bezszeletnym krokiem sunął szary cień — zgłodniały żbik, przeskakując z jednej skały na drugą, prześlizgując się między cienkimi pniami gęstych haszczy świerkowych. Postanowił odbyć tej nocy dłuższą wycieczkę. Najpierw udał się do położonych ponad granicą lasu zarośli kosodrzewiny — sosny górskiej i olchy kosej, płózającej się tuż przy ziemi. Gęstym kobiercem z pogmatwanych gałęzi tych krzewów okryte były urwiste stoki gór. Znajdowały tam przytułek liczne rzesze myszy i ich krewniaków — polników górskich. Kryły się one w zacisznych norkach, pod wpijającymi się w płytką glebę naskalną korzeniami kosówki. Cicho, spokojnie płynąłby ich żywot, gdyby nie zakusy zaciętych wrogów, do których należy zaliczyć i żbika. Bystre oczy, zielonemi

płomykami połyskujące w ciemności i czujne uszy — ułatwiały mu łowy. Ledwo piśnie gdzieś myszka, a już ginie w ostrych pazurach rabusia. W ciągu paru godzin żbikowi udało się złapać kilka tłustych, upasionych korzonkami i nasionami traw polników. Zaspokoiwszy pierwszy ostry głód, opuścił on gęstwinę krzewiastą i wrócił do mrocznej świątyni świerkowego lasu. Zachciało mu się teraz jakiegoś delikatniejszego kęsa, mogącego uwieńczyć ucztę dzisiejszą. Spozierał więc wokoło, pilnie nasłuchiwał i wreszcie bystry wzrok jego i nawet słaby stosunkowo węch doniosły mu, że na nisko pochylonej gałęzi siedzi pogrążony w głębokim śnie jarząbek. Żbik stanął jak wryty. Stąpając bez szmeru aksamitnymi łapkami, zbliżył się do drzewa, z błyskawiczną szybkością wdrapał się po pniu i zaczął się skradać pocichu do upatrzonej ofiary. Jeszcze chwila — i jarząbek z żalonym krzykiem zatrzepotał w ostrych pazurach młodego rozbójnika.

Resztę nocy spędził żbik rozkoszując się wspaniałem daniem, jakie przygotowała mu troskliwa matka-natura. Nad ranem — pozostawiwszy tylko trochę pokrwawionych piórek i grubszych kości, ociążale powracał żbik do swojej zacisznej kryjówki. Gdy już był blisko starego wykrotu, zadziwił go i zatrwożył wychodzący stamtąd donośny trzask i łomot. Cóżby to być mogło? Skradał się ostrożnie, poruszając, jak zwykle koty w czasie zdenerwowania, końcem grubego, w ciemne obrączki ogona. Ujrzał wspaniały obraz. Władca kniej karpac





kich — olbrzymi niedźwiedź — ugniatał chróst świerkowy przywalony wykrotem, sapiąc przytem i pomrukując. Potężne mięśnie bar i karku poruszały się pod jasnobrunatną, włochatą skórą. Trzeszczały suche gałęzie. Zleżałe igliwie płatami wylatywało spod zmurszałego pnia, wrywane pazurami moczara. Po skończonej pracy niedźwiedź obrócił się tyłem do rozszerzonego dołu i wsunął, cofając się wstecz, swoje ciężkie cielsko. Odnalazł ten barłóg, powracając z udanych łowów. Nocy tej odwiedził zagrodę owczą na pobliskiej połoninie.

Teraz, gdy zima cichemi kroki się skradała, gdy lada dzień nadejść mogły zawieruchy, syczące złośliwie zawieje i srogie śnieżyce, najadał się dosyta. Prostu się objadał, przygotowując się do długiego snu w jakimś zacisznym barłogu-gawrze. Wałęsając się po lasach, obfitujących w złomy, wykrociska drzew i głębokie rozpadliny, wybierał zawczasu miejsce, w którym za parę tygodni mógłby rozpocząć drzemkę zimową. Był bardzo wybredny. Nie każde złomisko lub

pieczara odpowiadały jego wygórowanym wymaganiom. Gawra musiała być dobrze osłonięta od strony północnej i wschodniej, bo z zachodu nawiewało zasy pył śnieżne, a od południa uroczysko zasłaniały górskie stoki.

Był to niedźwiedź w sile wielu, lecz usposobienie miał opryskliwe, jak zgorzkniały stary kawaler! Tegoroczna małżonka jego, która obchodziła naszego odludka tylko przez parę tygodni w środku lata, zamieszkiwała sąsiednie zbocze. Poszukiwała tam pewnością również wygodnego zakątka, gdzie po Bożem Narodzeniu przyszyby na świat małe jak szczury niedźwiedziątka, co aż do wiosny pozostawałyby wraz z matką w ciasnej gawrze.

Tego poranku natrafił potężny samotnik na legowisko żbika. Przypadło mu do gustu, więc postanowił je sobie przywłaszczyć. Żbik nie przejmował się zbyt utratą wygodnej kryjówki. Pogodził się z losem, z siłą wyższą, jaką był dla niego władca gór. Zawrócił mrugnawszy pocichu z rezygnacją, i udał się na poszukiwanie nowego schroniska. Wkrótce natrafił na zwisającą nad szutrowatem, kamienistym łożyskiem potoku skałę. Znalazł pod nią dość głęboki dół, osłonięty w dodatku obaloną przez wicher pniem. Wewnątrz było sporo nawianej ściółki z igliwia. Żbik, nie namyślając się długo, skoczył tam i zwinawszy się w kłębek, utonął w smacznej drzemce i marzeniach o przyszłych obfitych łowach.

Inż. Wł. Lindeman

W Ś N I E G U

Czwarty bataljon drugiego pułku piechoty legionów cofał się w głąb Karpat Wschodnich. Komendant Roja był zły, ale cóż było robić? Niepodobna było jednym bataljonem trzymać całego odcinka frontu. Żebyż to jeszcze z samym tylko Moskałem była sprawa! Ale gorszym od Moskale wrogiem był tego dnia dwudziestostopniowy mroz, który na spółkę z wiatrem czynił w szeregach ogromne spustoszenie. Śniegu wszędzie

nawaliło. Ani przejść, ani przejechać. Jeden z adjutantów Roi, wysłany z meldunkiem, przebiegłszy kłusem kilometr wertepów po takim śniegu, padł wycieńczony i ledwie żywego przyniesiono go na posterunek sanitarny.

Bataljon dowlókł się do Zielenicy. Tu dopiero doszedł rąk Roi meldunek, że część rannych została odcięta w czasie odwrotu, i to odcięta w tak głuchem i odludnem miejscu, że jeżeli nie da im

się pomocy w najbliższych godzinach, to grozi im niechybna lodowa śmierć.

A jakąż pomoc może im dać w tej chwili bataljon wobec tego, że od rannych dzieli go już teraz rosyjski front? Rzucić się na ów front, przełamać go, dotrzeć do rannych i zabrać ich z sobą? Tak. Gorzki uśmiech błąka się po ustach Roi. Atakować po świeżo dokonanym odwrocie, z ludźmi, którzy ledwie sami trzymają się na zgrabiałych, poodmrażanych nogach? Ryzykować życie kilkuset ludzi dla ratowania kilkunastu nieszczęśliwych, którzy tam już pewno dogorywają? Niepodobieństwo!

Ale co robić. Sępia, drapieżna twarz Roi nasepiła się jeszcze bardziej. Powziął decyzję. Stał przed bataljonem, ustawił go w dwuzereg, — zakomenderował „baczność” i przemówił. Parę prostych, żołnierskich słów.

Oto tam, w śniegu, giną koledzy. Ratować ich samemu niepodobna, bo dzieli ich od nas front. Jedyłą rzeczą, jaką można zrobić, jest zawiadomienie Rosjan o rannych i zwrócenie się do nich z prośbą o udzielenie im pomocy. Trzeba tedy dwóch, trzech ludzi na ochotnika, którzyby poszli do placówek rosyjskich. Kto pójdzie? Wystąp!

Cisza grobowa. — Hm. Isć pod noc, na ten mróz, w te góry, w ten kopny śnieg po pas? Błądzić, odmrozić sobie ręce i nogi, a do rana samemu zamienić się w siny, szczeriałą sopel lodowy? Albo dostać się pod ogień nieprzyjacielski? Cel na śniegu widoczny zdaleka

i padniesz albo dostaniesz ranę, jak ten ranny, co go idziesz ratować? Ale i te rozmówki z Moskalami też ponętne nie są. Kto ich tam wie? Przytrzymać gotowi. Niewola? Hm? A tu przed tobą chaty ciepłe, od kuchni polowych biją takie aromaty, że aż się człowiekowi słabo robi.

Oglądają się chłopcy jeden na drugiego i nic. Cisza.

Roja czeka cierpliwie. Wreszcie nie strzymał i warknął:

— Czyżby mego czwartego baonu nie stać było na dwóch ochotników?

Jeszcze sekunda zamarznętej, szklanej jakby ciszy, a potem nagle prawie razem odezwały się dwa głosy.

— Ja pójdę!

Roja do ochotników poskoczył. Kto? Co? Jak?...

Dwóch ich było. Ptak i Góralik. Ptak — akademik z Krakowa; Góralik — ot taki sobie góralik spod Żywca, czy Sącza.

Wysunęli się na krok z szeregu. Wia- ra przygląda im się zukosa trochę z podziwem, trochę ze wstydem, że zwala na nich ów straszny obowiązek, trochę z uciechą, że sama zostaje. A jednak honor baonu nie ucierpi.

Poszli obaj chłopcy w głuchy, mroźny, przysypany już mrokiem świat. Do wroga. Ciężko było. Uf! ciężko.

Udało się wszystko. Wrócili późnym wieczorem zdrowi i cali. Trafili na ludzkiego oficera, który zaraz obiecał zająć się rannymi. Zrobili swoje.

K. Konarski



We wtorek, 22 października o godz. 12 min. 15 do 12 m. 35 audycja szkolna dla młodszych dzieci p. t.: „Śpiewajmy piosenki”. Jeżeli chcecie nauczyć się tych piosenek, śpiewajcie je razem ze swymi rówieśnikami z drugiej strony mikrofonu. Piosenek będzie uczył pan prof. Br. Rutkowski.

We środę, 23.X od godz. 16.00 do 16 min. 20 słuchowisko p. t.: „Kilof bije,

węgiel pryska” przeniesie miłych radjo-słuchaczy na Górny Śląsk. Przewodnikiem wycieczki będzie p. Henryk Ładosz. Znajdziecie się w kopalniach węgla i poznacie ciężką pracę i niebezpieczeństwa, które czyhają na życie górników. Słuchowisko zilustrują pieśni i muzyka.

We czwartek, 24 października o godz. 16.00 do g. 16 m. 15 Stary Pan Doktor

opowie dalszy ciąg bajki „O kocie w butach”.

W piątek, 25.X o godz. 12 m. 15 do g. 12 m. 40 zostanie nadana zajmująca audycja dla szkół i starszych dzieci p. t.: „Wesele huculskie”. Gwarnie i wesoło odbędzie się to wesele, ponieważ urozmaica je huculskie piosenki i muzyka. Posłuchajcie, a nie pożałujecie. I tegoż dnia o godz. 16 m. 45 do g. 17.00 „Chwilka pytań” pogawędzi ze starszymi dziećmi i odpowie im na rozmaite zapytania.

W sobotę, 26 października o godz. 18.00 do g. 18 m. 30 oczekuje Was wesołe słuchowisko, które przygotował „Teatr Wyobraźni” p. t.: „Jak się skończyły wa-

kacje Mikołajka”. Zdziwicie się pewnie, kiedy Wam powiem, że ten Mikołajek, to sam Mikołaj Rej. Kiedy był on takim chłopcem jak Wy, lubił psocić i figlować, ile tylko się dało. Radjo opowie Wam, jakie zabawne przygody miał psotny Mikołajek.

W niedzielę, 27 października o godz. 16.00 do g. 16 m. 15 Wujaszek radjowy podyktuje nowe „łamigłówki”, które tak bardzo lubicie rozwiązywać.

A w poniedziałek, 28.X od g. 18 min. 30 do 18 m. 40 „Skrzyneczka radjowa” omówi listy swoich młodszych i starszych korespondentów.

I. W.



Okręt szedł pod parą, ale miał doskonałe ożaglowanie i w potrzebie mógł obejść się bez motoru. Słowem był to wymarzony statek do podróży i przygód.

Toteż cała czwórka wałęsała się cały dzień po okręcie, ucząc się języka angielskiego i nazw części składowych okrętu. Robili to tak starannie, aż mieszały się im różne grotmaszty, szpardeki, szpangoty, reje i szturwały.

Często też stawali na pokładzie i patrzyli na długą smugę, ciągnącą się za okrętem, albo przyglądali się ptakom, krążącym nad statkiem.

Wieczorem schodzili się w kajucie i każdy opowiadał co widział i czego się nauczył. Zapisywali sobie angielskie słowa i obok to, co one znaczą. W ten sposób niedługo mogli

już porozumieć się jako tako z marynarzami.

Szczególniej ich zaciekał Krzwy Dżems, jak go nazywali marynarze.

— Powiadam wam, że ten człowiek musiał mieć nadzwyczajne przygody! — mówił Julek. — Muszę go wypytać, a potem opiszę...

— Wierszem — dodał Wacek.

— Żebyś wiedział!

Po pewnym czasie chłopcy mogli się już jako tako rozmówić z Dżemsem, choć jeszcze wielu słów nie rozumieli. Poprosili go jednak, żeby coś im opowiedział, na co Krzwy Dżems chętnie się zgodził.

Chłopcy długo milczeli. Po dobrej chwili szepnął Mietek:

— Dlaczego oni tak ciągle biją się z tymi dzikimi? Jak nasz Beniowski był królem na Madagaskarze, to

wszyscy dżicy go kochali. A jak rząd francuski chciał im dokuczać, to on stał po ich stronie i zginął.

Krzywy Dżems spytał o czym mówią. Wytłomaczyli mu więc z trudem, o co chodzi.

— Ach, że bijemy się z temi djabłami? — odpowiedział. — Nic dziwnego! Anglja ma tyle kolonij, że musi to wszystko w karbach trzymać. A czy wasz kraj ma kolonje?

Chłopcy stropili się trochę.

— Czy ja wiem? — mrucał Julek. — Zdaje się, że w Brazylji... Czytałem coś, że w Paranie...

Mietek zerwał się naraz i za chwilę wrócił z atlasem. Krzywy Dżems uśmiechnął się krzywo:

— Czy ten wasz kraj będzie na mapie? — spytał.

— No, ja myślę! — krzyknął chórem Wygwizdów.

— To gdzieś pewno blisko Persji? — spytał jeden ze zgromadzonych marynarzy.

— Co? — oburzył się Julek. — Blisko Persji? Graniczymy z Niemcami i mamy ujście do morza Bałtyckiego. O, patrzcie!..

Tu Julek pokazał palcem na czerwoną plamę Polski w atlasie Mietka. Marynarze angielscy pochylili głowy.

— Ba! — krzyknął Krzywy Dżems. — Toż to mało co mniejsze od Anglji.

— A widzicie! — triumfował Mietek.

— A ile też ludności macie? — spytał jeden z marynarzy.

— Ludności?.. — Wygwizdów spojrzął po sobie pytająco.

— A ile kilometrów ma wasz kraj?

— Czy macie swoją marynarkę?

— Ile okrętów macie?

Mietek całkiem czerwony mrucał niewyraźnie:

— Mam to gdzieś zapisane... Jutro może znajdzie...

Krzywy Dżems suwał pracowicie palcem po mapie i naraz zawołał:

— Hej, patrzcie-no! Wszystko co jest niebieskie na tej mapie — to angielskie! Szmat ziemi mamy, co?

— Ho, ho! Szmat ziemi! — potwierdzili marynarze.

— A gdzież wasze kolonje? — spytał znowu Krzywy Dżems.

Cała czwórka zaczęła szukać skwapliwie na mapie, ale po chwili Mietek bąknął:

— My... nie mamy... kolonji...

— A w Brazylji? — spytał szepsem Julek.

— Zdaje się, że tam jest nawet dużo Polaków — powiedział Mietek. — Ale kraj nie należy do nas.

Wieczorem tego dnia chłopcy długo rozmawiali.

Mietek mówił jakby nawpół do siebie:

— Każdy kraj ma kolonje po całym świecie, a my nie. Siedzimy u siebie i nie wysadzamy nawet nosa na świat.

— To nic! — krzyknął Julek. — My założymy polską kolonję! Przecież jedziemy na prawdziwym okręcie i możemy mieć prawdziwe przygody!

— Tak, jedziemy na okręcie — mruknął Mietek. — Ale ten okręt płynie pod obcym sztandarem.

Chłopcy zamyslili się poważnie.

A szczególnie dziwnie im było, kiedy słyszeli co wieczór, jak chór marynarzy śpiewa hymn angielski, pod rozwiniętym i trzepoczącym się na wietrze sztandarem.

Mietek chodził milczący, że zwie-



szoną głową i nad czemś myślał usilnie, a Julek mrugał tajemniczo i mówił:

— Powiadam wam, że on coś wymyśli!

Jakoż wymyślił. Codziennie zamykał się w kajucie na kilka godzin i coś majstrował, a przez ten czas Wygwizdów musiał spacerować po okręcie.

Za powrotem znajdowali tylko strzępki nici na podłodze, a Mietek siedział przy swoim plecaku, uśmiechnięty tajemniczo.

— Co ty tam masz w tym plecaku? — dopytywali go się.

— Zobaczycie! — odpowiadał Mietek.

I rzeczywiście zobaczyli.

Kiedy pewnego wieczoru rozległ się na pokładzie zwykły śpiew, Mietek wyjął coś z plecaka i powiedział krótko:

— Chodźmy!

Marynarze śpiewali hymn narodowy angielski „Boże, zachowaj nam króla”, a sztandar łopotał nad nimi dumnie.

Kiedy śpiew się skończył i mary-

narze zaczęli rozchodzić się, Mietek rozwinął swoje zawiniątko i powiedział:

— Wygwizdów za mną!

Stanęli niedaleko mostka kapitańskiego, nie wiedząc co mają dalej począć. Ale Mietek komenderował dalej:

— Wygwizdów, zbiórka w rozwiniełym!

Trójka stanęła sprawnie w szeregu. Wówczas Mietek zatknął uroczyście u nasady grot-masztu wielką, dwubarwną chorągiew.

— Aaa! — wyrwało się z trzech ust.

Mietek stanął na prawem skrzydle i skomenderował:

— Baa-czność! Czapki zdejm!

Cztery harcerskie czapki opadły sprawnie nadół.

— Jeszcze Polska nie zginęła! — półgłosem rozkazał Mietek.

I śmiała, dumna, ochocza pieśń popłynęła nad morskimi falami:

— Jeszcze Polska nie zginęła,
Póki my żyjemy!...

D. c. n.

Jerzy Ostrowski

LISTY OD REDAKCJI

Mili Czytelnicy.

Jestem uradowany, że kochacie się i pomagacie sobie wzajemnie. Tak miło czytać list Zuchów z Łodzi, którzy piszą: „Wiesz, Płomyku, my i w tym roku pamiętamy o naszych kolegach z Polesia. Posłaliśmy im zeszyty, ołówki, pudełko stalówek i trochę odzieży”.

Znów uczennice i uczniowie klasy VI szkoły powsz. Nr. 1 w Wolbromiu opiekują się najbiedniejszym chłopcem, sierotą w ich klasie. Z zebranych składek kupili mu ubranie i buty, a teraz dziewczynki będą robić dla niego ciepły szalik i krawiczki.

A uczniowie klasy IV z Krakowa stale wysyłają jeden egzemplarz Płomyka, Płomyczka i Gazetki Ściennej do takiej szkoły, gdzie dzieci nie mają pieniędzy na opłacenie pisemka.

To dobrze, kochani moi, że pamiętacie o tych, którzy potrzebują Waszej pomocy i rozumiecie, że wszyscy ludzie są naszymi braćmi.

Serdecznie Was pozdrawiam i życzę powodzenia w pracy.

Czytelniczkom i Czytelnikom z Wilkowie (klasa VII) dziękuję za paczkę listów. Rad jestem, że budują Wam jasną i wygodną szkołę. Czy i Wy pomagacie starszym w tej pracy?

Pewnie skończyły się już kłopoty

dzieci klasy IV w Śleszowicach i świetlica została pięknie odnowiona. Płomyk chciałby wiedzieć, jak spędzacie czas w swojej miłej świetlicy.

Członkiniom Kółka Literackiego w Zduńskiej Woli nie mogę przysłać obrazka scenicznego z życia Marji Kopnickiej, ponieważ niema w księgarniach takiej książeczki. A nie zapomnijcie opisać mi, jak odbyła się uroczystość ku czci patronki Waszego Koła.

Spełniam prośby moich czytelników i podaję adresy szkół w kraju i zagranicą. Uczniom kl. V szkoły powsz. w Obornikach poznańskich adres dzieci krakowskich: Klasa V, Szkoła powszechna XIII im. Ad. Mickiewicza w Krakowie.

Klasie VI szkoły powsz. Nr. 1 w Wolbromiu adres szkoły we Francji: L'école polonaise, Chalette, Loiret par Montargis. France.

I uczniom klasy V szkoły powsz. w Jastkowie koło Lublina adres szkoły w Belgji: P. H. Wielowieyski, 251 Chaussée de Wavre, Bruxelles.

Czytelniczka Płomyka, Tala Piątkowska, ucz. kl. I gimnazjum pragnie korespondować z 12-letnią rówieśniczką. Kto napisze do Tali pod adresem: T. Piątkowska, Dębsko p. Koźminek koło Kalisza.

CZY WIESZ?..

Zapas ropy naftowej w Polsce według oszacowania geologów wynosi 160 milionów tonn. W roku 1934 wydobyto w Polsce 529 tysięcy tonn ropy.

Gdy kiedyś zabraknie pokładów ropnych, będzie się ją otrzymywało przez destylację nasiąkniętych nią skał łupkowych, tak zwanych łupków bitumicznych, których i w Polsce są obfite złoża.

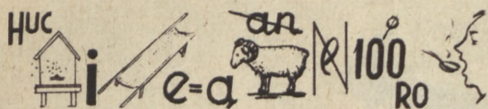
W Borysławiu i w Staruni są kopalnie wosku ziemnego, minerału spokrewnionego z ropą naftową. Szukając wosku, znaleziono w Staruni nosorożca, który przed wiekami zamieszkiwał nasz

kraj. Utopiony w bagnie z ropą naftową, zakonserwował się do naszych czasów i dziś, wypchany, jest ozdobą Muzeum Akademii Umiejętności w Krakowie. Świeżo wydobyta ropa naftowa ma najczęściej kolor czarno-zielony, który szybko przechodzi w czarno-brunatny i jest ciepła. W głębokości kilkunastu setek metrów od powierzchni ziemi, skąd się ją wydobywa, panuje już dość wysoka ciepłota kilkudziesięciu stopni, wzrastająca, jak wiadomo, wraz z głębokością.

Głębokość szybów naftowych w Polsce sięga do 2000 m.

NIE KAŻDY SNADNIE TO ODGADNIE

REBUS



SZARADA 1

To szarada, jak zabawa,
taka jest z nią łatwa sprawa.
Pierwszą każdy wie, lub nie wie,
bo chociaż ma liter dziewięć,
tworzy, z liter tych złożona,
imię polskiego patrona.
Druga jest z dwóch liter znów
i zaimek znaczy „.....”
Całość chcesz odwiedzić, bracie?
Prosto jedź na Podkarpacie.

SZARADA 2

Pierwszych się nie bój, gdyś nie winien,
bo kary bez winy niema.
Druga — pół pana. Trzecia jedynie
zaimek twego imienia.
Całość — to ziemi naszej granica,
która lasami wszystkich zachwyca,
a na jej szczyty, a na jej skały
ciągnie wycieczek szereg niemały.

ZAGADKA 1

Przez „d” zrobiony jest z metalu,
słowa przenosić umie.
Przez „p” nie płynie na Podhalu
i z wody jest, a nie z metalu,
niemały z niego strumień.

ZAGADKA 2

Niepodobny dębom,
niepodobny sośnie,
zielony na gębie,
na zboczach gór rośnie.

ZAGADKA 3

co trzeba zrobić sercom,
Nie będąc ludożercą,
a chcąc pożytek mieć —
żeby je smacznie jeść?

ZAGADKA 4

Ile lat liczy świat?
(Odpowiedzieć trzeba ściśle,
z kalendarza, po namyśle).

ROZWIĄZANIA Z N-RU 7:

Rebus: chmurna pogoda na dworze.
Krzyżówka:

■	S	T	O	P	A	■
B	■	O	S	A	■	J
U	L	■	A	■	T	E
R	O	K	■	L	A	S
A	S	■	N	■	M	I
K	■	T	A	M	■	E
I	L	E	■	K	O	Ń

Zagadka: sekundy, minuty, godziny.
Szarada 1 — słota; 2 — ulewa.

WARUNKI PRENUMERATY:

W prenumeracie pojedynczej:		W prenumeracie zbiorowej (od 10 egz. wwyż):	
miesięcznie	zł. 1.10	miesięcznie	zł. —.84
półrocznie	„ 5.—	półrocznie	„ 4.—
rocznie	„ 10.—	rocznie	„ 8.—

POJEDYŃCZY NUMER „PŁOMYKA” KOSZTUJE 30 gr.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: WARSZAWA, UL. SMULIKOWSKIEGO 1.
(wejście od ul. Dobrej Nr. 6). Nr. telefonu administracji 2.69-49, redakcji — 6.30-28.

Konto czekowe P. K. O.: „Związek Nauczycielstwa Polskiego — Zarząd Główny —
Warszawa” — Numer konta 435.

PRENUMERATORÓW WARSZAWSKICH OBSŁUGUJE BIURO ADMINISTRACJI PRZY
ULICY ŚWIĘTOKRZYSKIEJ 18, TEL. 5.22-18. BIURO CZYNNE OD G. 9-ej DO 7-ej W.

Redaktorzy: M. KOTARBIŃSKI i ST. MACHOWSKI. Kierownik artystyczny — K. PIENIAŻEK
Wydawca w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego: — STANISŁAW MACHOWSKI.

Druk. Rotograw. „Nowoczesnej Spółki Wydawniczej, S. A.”, Warszawa

